

reporter

dziennik
ELBLĄSKI

MASZ SPRAWĘ DO OPISANIA,
SKONTAKTUJ SIĘ Z NAMI: 055 236 17 97, gazeta@dziennikelblaski.pl

Siedemnaście lat gehenny

92-letni Marian Mongiało z Elbląga podczas wojny dwa razy brawurowo uciekał po aresztowaniu przez NKWD, a raz przez Niemców. Walczył w kampanii wrześniowej, w obronie Warszawy, potem w nowogródzkiej Armii Krajowej. Sowieci skazali go na 10 lat łagrów i wieczną zsyłkę po odbyciu kary.



Marian Mongiało opowiada o wojennych czasach synowi Henrykowi Fot. Grażyna Wosińska



Grażyna Wosińska
g.wosinska@dziennikelblaski.pl

Marian Mongiało pochodzi z Roubiszek na Nowogródzie. W 1938 r. miał 21 lat. Wtedy został powołany do 7 Batalionu Pancernego w Grodnie. Był szeregowcem, mechanikiem i kierowcą czołgu. Wybuch wojny rozpoczął siedemnaście lat gehenny: wojny oraz przesładowań Sowieców. Także po powrocie do kraju w 1956 r. komunistyczne władze nie dawały mu spokoju.

Pierwsza ucieczka

Wybuchu wojny Marian Mongiało się spodziewał, ale atak Armii Czerwonej 17 września 1939 r. był zaskoczeniem.

— Ten dzień zastał mnie w Warszawie, gdzie dotarłem ze swoim batalionem, by bronić stolicy — wspomina. — Gdy dowiedziałem się o agresji naszego sąsiada bardzo niepokoi-

łem się losem rodziny, która została w Roubiszkach. Myślałem tylko o jednym, aby najszybciej jak to możliwe znaleźć się w rodzinnych stronach. 28 września Warszawa skapitulowała. Dostałem się do niewoli. Od pierwszej chwili wymarszu myślałem o ucieczce. Czekałem sposobnej chwili. Taka okazja zdarzyła się w okolicach Łomianek. Nasz oddział prowadziło tylko dwóch żołnierzy niemieckich, jeden z przodu, drugi z tyłu. Gdy przechodziliśmy obok gęstych zarośli, uciekłem. Konwojenci nic nie zauważyli.

Aby ucieczka się powiodła pan Marian musiał zdobyć cywilne ubranie.

— Nie miałem wyjścia, musiałem ryzykować — opowiada. — Zaszedłem do nieznanego mi mieszkania, gdzie była samotna kobieta. Dostałem od niej ubranie męża, który był na wojnie. Po wielu przygodach dotarłem do rodzinnych Roubiszek.

Rozbrajanie i aresztowania

Dla Mariana Mongiały klęska wrześniowa zadana przez dwóch agresorów nie zakończyła wojny. Nie miał wątpliwości, że nikt go nie zwolnił z żołnierskiego obowiązku. Na-

wiązał kontakt ze Związkiem Walki Zbrojnej, został zaprzysiężony.

— Pełniłem funkcję drużynowego cyklistów, którzy rozwozili meldunki do poszczególnych oddziałów — mówi pan Marian. — Brakowało broni, trzeba było ją zdobywać rozbrajając niemieckie posterunki. Obserwowaliśmy ruchy wojsk niemieckich i przekazywaliśmy informacje dowództwu.

Gdy po agresji Niemiec na Związek Radziecki zaczęła się na Nowogródzku pojawiać sowiecka partyzantka, oddziały Armii Krajowej z nią współpracowały.

— Na początku wszystko dobrze się układało. Myśleliśmy, że Sowieci to jednak Słowianie, lepsi niż te szwabry — mówi Marian Mongiało. — Nasze przypuszczenia nie sprawdziły się. Gdy już Sowieci byli pewni, że pokonają Niemców zaczęli nas uważać za wrogów. Zaczęły się rozbrajanie i aresztowania.

Broń się jeszcze przyda

Marian Mongiało brał udział w akcji Ostra Brama, która rozpoczęła się w nocy z 6 na 7

lipca 1944 r. Ataki oddziałów AK zostały przez Niemców odparte. Większość jednostek decyzją dowództwa skierowano do Puszczy Rudnickiej. Tam też trafił pan Marian.

— Ciągłe latały nad nami rosyjskie samoloty — opowiada. — Pewnie chcieli nas wykryć i powystrelać. Nie udało im się. Zamaskowaliśmy broń. Dowódca powiedział, że się jeszcze przyda, gdy pójdziemy na pomoc powstańcom warszawskim. Z puszczy w sierpniu 1944 r. przedostałem się w okolice Ejszyszek, gdzie miałem melinę, gdzie mogłem się umyć, przebrać i zmienić ubranie. Gdy tylko wszedłem, już na mnie czekało NKWD. Kazali mi iść do stodoły, by przynieść im papierosy. Tam na przywitanie dostałem w twarz i oskarżenie, że jestem bandytą z AK. Oczywiście nie przyznałem się. Zawieźli mnie do Ejszyszek i razem z kolegami mojego oddziału trzymali w areszcie, dawnej żydowskiej bożnicy.

Druga ucieczka

Marian Mongiało uznał, że Sowieci coś knują i postanowił uciec.

— Zawieźli nas z Ejszyszek do Wilna. Znam dobrze to miasto — mówi. — Przy pierwszej sposobności czmychnąłem w krzaki. Strzelali za mną, szukali, a ja w dół do Wilejki. Patrzę stoi czterech sowieckich żołnierzy. Po drodze idą dwie panienki. Objąłem jedną z nich, że niby dobrze się znamy i szepczę do ucha pytanie, czy nikt za nami nie idzie? Usłyszałem, że nie oraz radę, by przejść kilkanaście metrów, tam będzie most, ale trzeba uważać, bo są działa przeciwlotnicze. Znowu mi się udało. Wróciłem do Puszczy Rudnickiej, odnalazłem swojego dowódcę. Pomagałem mu wydawać litewskie fałszywe dokumenty dla Akowców. Ja też takie miałem.

Sowieci podczas aresztowania pana Mariana w styczniu 1945 r. nie dali się nabrać na fałszywki.

— NKWD miało u nas agenta. Obiecał przeprowadzić mnie do swojego oddziału z kompanii „Solca”. Zamiast tego aresztowało mnie NKWD — wspomina Marian Mongiało. — Od razu mnie skatowali. Zdarli koszulę, skopali i zbili wycio-

rami. Po sukcesach w walce z Niemcami stali się butni i okrutni.

Trzecia ucieczka

Z więzienia w miejscowości Raduń pan Marian próbował uciec po raz trzeci. Zdrada uniemożliwiła ten zamiar.

— Za karę prowadzili mnie Sowieci ze związanymi rękoma 140 kilometrów przez śnieg do Lidy — wspomina. — Gdy powiedziałem, że dalej nie pójdę kazali wyjść z szeregu i stanąć obok dwóch brzoź. Pomyślałem, że tam będzie mój grób. Dostałem tylko kolbą i padłem w śnieg. Wsadzili mnie na wóz, zawieźli do więzienia w Lidzie. Śledztwo trwało ponad rok w wielu więzieniach. W celi słyszałem jak ludzie na ulicy śpiewają Mazurka Dąbrowskiego i cieszą się z końca wojny. Mnie to nie było dane. W Grodnie 3 kwietnia 1946 r. zostałem skazany na 10 lat łagrów i wieczną zsyłkę po odbyciu kary.

Na Wielkanoc Marian Mongiało trafił do obozu przejściowego w Orszy, koło Witebska.

— W celi było 270 stłoczonych mężczyzn. Spaliśmy na zmianę, bo nie wszyscy mieli miejsce, by się położyć lub usiąść — opowiada pan Marian. — Po dwóch tygodniach zawieźli nas do Tachtamygdy w Krasnojarskim Kraju. Ciężko tam pracowałem jako dekarz i cieśla. Kopaliśmy doły pod fundamenty domów w wiecznej zmarzlinie. W 1953 r. po śmierci Stalina zwolnili mnie z łagrów i skazali na wieczne osiedlenie w Orotukanie na Kolyminie. Tam ożeniłem się i urodził się syn, Henryk. W grudniu 1955 r. otrzymałem polski paszport, bo mimo szynkar, pozbawiony polskiego obywatelstwa, nie przyjąłem sowieckiego. 6 stycznia 1956 r. byłem w Polsce z rodziną. Nie dane mi było wrócić do rodzinnych Roubiszek, bo tam już Polski nie było. Nadal tęsknię za swoimi rodzinnymi stronami.